

FORUM MŁODYCH

Waldemar Kuligowski

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

walkul@amu.edu.pl

ETNOGRAFICZNE WARSZTATY PISARSKIE: CZTERY OPOWIADANIA

Historię akademickiej antropologii można przedstawić jako dzieje ogłaszanych w kolejnych dekadach bestsellerów czytelniczych: od Jamesa G. Frazera, Margaret Mead, Ruth Benedict, Bronisława Malinowskiego, przez Zorę Neale Hurston, Claude'a Lévi-Straussa, Carlosa Castañedę, Nigela Barley'a, po Marca Augé, Thomasa Hyllanda Eriksena i Gillian Tett. Innym wariantem takiej opowieści mogłaby być historia zmieniających się konwencji i trybów tekstowych reprezentacji: od etnograficznego realizmu, ze zwykle towarzyszącą mu konwencją *praesens ethnographicum* po eksperymenty dotyczące środków wyrazu, pozycji i roli narratora, formatu mnogiego autorstwa czy stosowania w tekście dialogów oraz opisów postaci.

Tego rodzaju rekonstrukcje – jakkolwiek uprawnione – nie należą jednak do rozpowszechnionych. Nadal utrzymuje się, jak wskazywał przed czterema dekadami Clifford Geertz, lęk przed myśleniem o antropologii

jako o przedsięwzięciu pisarskim. Rewersem tego lęku jest przekonanie, że specyfikę dyscypliny najwyraźniej buduje zestaw partykularnych narzędzi i technik badawczych. W efekcie dominują metafory agrarne (field, fieldwork), nie zaś tekstualne (author, authorship, writing). Jednak mimo rozwoju i upowszechniania się nowych technologii, to właśnie narracje tekstowe w dalszym ciągu pozostają kluczowym medium komunikowania wyników antropologicznych badań. W tym kontekście za zaskakującą i zawstydzającą należy uznać nieobecność w programach nauczania etnologii/antropologii na polskich uniwersytetach zajęć rozwijających umiejętności związanych z atrakcyjnym oraz angażującym tworzeniem tekstów.

Dzięki programowi „Uniwersytet Jutra” (Narodowe Centrum Badań i Rozwoju), realizowanemu na UAM od 2018 roku sytuacja ta mogła ulec zmianie. Prace nad reformą programu nauczania I i II stopnia doprowadziły do tego, że w roku akademickim 2020/2021 w Instytucie Antropologii i Etnologii UAM w Poznaniu zaczęły odbywać się zajęcia pod nazwą Warsztaty pisarskie. Ich sylabusowe credo brzmi: „Tworzenie tekstów pełnych znaczeń oraz innowacyjnych stylistycznie, a dzięki temu bardziej atrakcyjnych dla zróżnicowanych odbiorców, to kluczowe elementy warsztatu antropologicznego, równie istotne jak skutecznie przeprowadzone badania terenowe. W jaki sposób terenowe obserwacje przekładać na język tekstu etnograficznego? Które strategie pisarskie umożliwiają adekwatne ujmowanie ludzkiego doświadczenia? Jak transformować czyjeś zachowania i przekonania, jak też odgłosy pracy maszyn, śpiew ptaków, smaki i zapachy, w »gęsty opis«? Co zrobić z subiektywnością badacza-autora w tekście? Świadome stosowanie narzędzi tekstualnych pomaga w przewyciężeniu dychotomii, takich jak faktyczność/fikcyjność, ja/inny czy przedmiot/podmiot. Dzięki temu wiedza antropologiczna jest łatwiej przyswajalna i włączana do debaty publicznej. Podstawowym celem warsztatu jest zapoznanie studentów z klasycznymi, jak i eksperymentalnymi strategiami pisarskimi, mogącymi następnie wzbogacić ich własne prace dyplomowe”. Wypracowana na potrzeby wspomnianych zajęć formuła programowa oznajmia dodatkowo: (1) etnografia jest środkiem wyrazu; (2) część szkolenia etnografek i etnografów polega na wyrażeniu

słowa naszego doświadczenia; (3) niestety, programy uniwersyteckie poświęcają niewiele uwagi pisaniu jako kluczowemu aspektowi prowadzenia badań; (4) więcej czasu poświęca się kryzysowi reprezentacji niż uczeniu, jak tworzyć zrozumiałe i angażujące teksty; (5) celem zajęć jest poznanie technik kreatywnego pisania w etnografii”.

Powyższe założenia prowokowały do postawienia pytania o to, dlaczego tak rzadko w świecie akademickim zachęca się do kreatywnej ekspresji? Sugerowanym pierwszym krokiem w zmianie tego stanu było zbudowanie świadomości, zarówno tekstowej (tego, co czytamy), jak i pisarskiej (tego, co piszemy). Dlatego w trakcie Warsztatów pisarskich czytaliśmy teksty: *Reality* Mariusza Szczygła (2010), *Przybliżenia czego Georges’a Pereca* (2012), *Psychologię narratora* Olgi Tokarczuk (2020) oraz *Sztuczki warsztatowe* Zadie Smith (2010). Pierwsze dwa posłużyły jako pretekst do rozmowy o szczególe i jego znaczeniu, nawiązując tym samym do przekonania, że „dobra” etnografia żywi się właśnie detalem; dwa kolejne były zaczynem do dyskusji o autorze/narratorze jako widmowej figurze antropologicznego pisarstwa, który albo był zapobiegawczo usuwany z tekstu, albo przeciwnie, oddawano mu pierwsze miejsce w narracjach hurtem określanych obecnie jako autoetnograficzne.

Sednem zajęć było, oczywiście, pisanie. Rozumiane jako proces, jako struktura obejmująca formę i treść, wymagająca dyscypliny i organizacji, ale także czytania (bez ograniczeń gatunkowych) oraz umiejętności obserwacji. Jak również zmierzenia się z pytaniami: jakie są twoje najczęstsze błędy podczas pisania tekstów? Czy jesteś w stanie zidentyfikować powtarzające się słowa, „lanie wody” albo zły wybór stylu? Uznanie, że pisanie ma być przyjemne, ale musi też mieć sens, pociąga za sobą akceptację tego, że czytelnik nie ma ochoty na poprawianie naszego tekstu. Przemyślany, poprawny, kreatywny tekst jest wyrazem szacunku dla odbiorców – nie dzieje się inaczej, gdy piszemy etnografię.

Poniżej prezentujemy niewielki przegląd efektów Warsztatów pisarskich. Jednym z zadań było stworzenie antropolożki/antropologa jako bohaterki/bohatera. Urszula Małecka niby to wykorzystuje schematy znane z cyklu o Harrym Potterze, nadaje im wszelako zupełnie inny sens, który suspensowo wyjawia na końcu swojej opowieści. O kulisach

fieldrecordingu traktuje Zuzanna Nalepa, hojnie nasycająca swoją opowieść żargonem wspinaczy górskich. Aleksandra Krzyżaniak sięga po formułę wywiadu etnograficznego, o tyle jednak oryginalną, że osadzoną w iście diabelskim entourage'u. Zuzanna Majerowicz natomiast przenosi „panią Stefę” w kosmiczną przyszłość, gdzie kolizja z meteorem stawia pod znakiem zapytania prezentację pewnej specjalnej wystawy. Różne głosy, różne style. Spaja je jedno: głęboka wiara w transformacyjną moc antropologii. To chyba jeden z najbardziej zaskakujących – ale również krzepiących – rezultatów etnograficznych Warsztatów pisarskich.

Urszula Malecka

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

ursmal@st.amu.edu.pl

SZKOŁA ANTROPOLOGII

Było krótko przed końcem roku szkolnego, kiedy pan Stawinsky poprosił mnie o zostanie po lekcjach. Do klasy weszła wysoka kobieta w średnim wieku. Miała kruczoczarne faliste włosy i ciemne oczy o przezywającym spojrzeniu. Mimo swojej dostojności, było w niej coś łagodnego i ciekawego, coś, co sprawiało, że nie mogłam doczekać się, aż zdradzi cel naszego spotkania.

– Heleno – podała mi rękę – jestem Olia Bulava, dyrektorka Szkoły Antropologii w Karpatach Wschodnich. Słyszałaś coś o tym miejscu?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

– To bardzo dobrze.

Parę miesięcy później już tam byłam.

*

Wchodzę do sali po cichu, tylnymi drzwiami. Mam wielką nadzieję na pozostanie niezauważoną, bo to już trzeci raz w tym miesiącu, kiedy spóźniam się na szamanizm. Naprawdę uwielbiam te zajęcia, ale ustawianie ich w planie w poniedziałki o dziewiątej to...

– Panno Maj, witamy.

O, nie! Dwadzieścia cztery pary oczu zwracają się w moją stronę. Czuję, że płoną mi policzki. Patrzą w jedną z tych dwudziestu czterech par i staram się swoim wzrokiem przekazać, że piekielnie mi przykro,

naprawdę, po prostu wczoraj wieczorem poszliśmy w góry szukać ziół, które kwitną tylko po zmroku i trochę nam zeszło... Ale speszona rzucam tylko „przepraszam” i siadam na pierwszym wolnym miejscu.

– W chwili śmierci człowiek w pierwszej kolejności traci siły życiowe *sülde*, potem oddech *amin*, a następnie ciało opuszcza *hünehen*. Podmiotowość osoby składa się z tych trzech części: siły życiowej, duszy oddechu i duszy cienia.

Profesor Peshkov podchodzi do tablicy i zapisuje nowe dla nas pojęcia. Jego długi, siwy warkocz kołysze się na boki. Gdy patrzę na jego pomarszczoną dłoń marzącą kredą po tablicy, czuję, że się uspokajam. Niektórzy mówią, że Peshkov był kiedyś szamanem, ale sam nigdy tego nie potwierdził. Jest chyba najstarszym profesorem w szkole i jako jedyny prowadzi wykłady w starym, pruskim stylu. I mimo że wiele osób nie pochwała jego metod, każdy przyzna, że przekroczywszy próg jego sali, całym sobą zostaje się w tym jednym miejscu i wszystkimi zmysłami chłonie się wiedzę, która wypływa z jego osoby. Zupełnie jakby rzucał na nas czar.

– *Hünehen* jako ostatni komponent podmiotowości opisywany bywa jako ciałopodobny i materialny, lecz jednocześnie subtelny, niewidoczny i bezgłośny. Po śmierci osoba trafia do świata zmarłych jako błądzący duch.

*

Po zajęciach idę na dach sprawdzić, jak się ma moje poletko dyń. Część dachów szkoły zagospodarowano pod uprawy, gdyż górzysty krajobraz wokół nie pozwala na obszerne ogrodnictwo. Płaskie dachy pokryte są roślinnością, a spadziste panelami solarnymi – kiedy po raz pierwszy zobaczyłam je z daleka, zrobiły na mnie piorunujące wrażenie. Staramy się nie sprowadzać wiele żywności spoza terenu szkoły, jedynie od czasu do czasu robimy wypadki do pobliskich miasteczek i kupujemy to, czego sami nie możemy wyhodować.

Dynie mają się dobrze. Pewnie w przyszłym tygodniu będę mogła je zebrać. Zrywam trochę jeżyn i wracam do środka. Za chwilę zacznę

etnobotanikę, na którą po nocy zrywaliśmy zioła. Weronika, nasza wykładowczyni, prowadziła badania w pobliżu lasów równikowych i opowiadała nam, że nie raz musiała zagłębiać się w dżunglę wraz ze swoimi partnerami badawczymi, by zrozumieć, jak istotne są dla nich niektóre rośliny. Pewnie dzisiaj dowiemy się, czy dla nas wchodzenie w dzicz też było takie niezbędne.

– Hela, widzimy się wieczorem? – Janek zatrzymuje mnie na schodach.

– Jasne, Zocha chyba niczego się nie spodziewa. Kupiłam jej w Polsce pierniki, mówiła, że je uwielbia.

– Super. Tort też jest gotowy, więc chyba wszystko mamy. Co masz teraz?

– Etnobotanikę. A ty?

– Systemy władzy z Bukowskim. Minał dopiero pierwszy miesiąc, a mam wrażenie, jakbyśmy uczyli się tego już co najmniej pół roku.

– Musisz mi później opowiedzieć, bo brzmi ekstra. Widzimy się po zajęciach, paaa! Wchodzę do sali na dwie minuty przed czasem. Jak na klasę etnobotaniczną przystało na parapetach i podłodze stoją donice z mnóstwem roślin z różnych zakątków świata. Lubię tu przychodzić. Przez wielkie okna wychodzące na południe wpadają promienie słońca, oświetlają wnętrze, ale też zбочa gór i błękitną wstęgę strumienia wijącą się wśród skał.

– Kochane i kochani, dziś zajęcia poprowadzimy dla was wspólnie z Marie-Pierre. Mimo że zadanie, które mieliście zrobić na dziś było etnobotaniczne, zanalizujecie je pod kątem teorii afektu. Przez kolejną godzinę dzielimy się wrażeniami po nocnych wojażach. Dużo w nich strachu i niepewności związanych z ciemnością i dzikością lasu, ale też ulgi, śmiechu i radości. Mówimy o trudności przystosowania się wzroku do ciemności, o poranionych przez runo leśne łydkach, o pragnieniu, niecierpliwości, zachwycie.

– Doświadczenia, o których mówicie, odsłaniają przed wami kolejną warstwę zrozumienia terenu. Wyobraźcie sobie, że chodzenie na nocne zbiory do lasu jest codziennością dla waszych partnerów czy partnerek badawczych. Poprzez rozmowę nie jesteście w stanie w pełni zrozumieć tego, co czują, kiedy zatapiają się w las. Doświadczenie tego, co oni, może

otworzyć was na nowe wnioski i pytania, na zrozumienie na innym, bardziej cielesnym poziomie. Oczywiście, wasze doświadczenia nie są jednakowe, ale z pewnością pozwalają głębiej zanurzyć się w teren. Chcemy z Weroniką, żebyście powtórzyli to zadanie i zastanowili się, co się zmienia: w waszym ciele, odczuwaniu, emocjach, myślach. Poszukacie tej samej rośliny, spróbujcie jednak dotrzeć do innego miejsca.

Po etnobotanice idziemy na lunch, rozmawiając o teorii afektu i naszym afekcie do Marie-Pierre. Francuska antropolożka jest wizytującą profesorką ze Szkoły Antropologii w Śródziemnomorzu, oczywiście wszyscy kochają jej akcent oraz nowe dla nas metody prowadzenia zajęć i eksperymentowania w terenie. Co miesiąc odwiedza nas antropolog lub antropolożka z innej szkoły, prowadzą oni własne modułowe zajęcia, a także uzupełniają na swój własny sposób zajęcia innych profesorów. Jednak najciekawsze są dla nas ich opowieści o życiu szkoły – jak radzi sobie z wytwarzaniem energii i jedzenia, jak współpracuje z lokalsami, czy władze wiedzą o jej istnieniu, w czym się specjalizuje, i tak dalej. Także my, jako studentki i studenci, musimy odbywać wymiany z innymi placówkami, które zazwyczaj trwają semestr lub dwa. Co roku odbywa się również Zjazd Antropologiczny w jednej ze szkół, na którym spotykają się wszyscy. Jako że uczę się w Karpatach trzy lata, byłam na trzech takich zjazdach: w Parku Narodowym Tusheti, w Andach i na norweskich fiordach. W tym roku zjazd odbędzie się u nas.

Tego dnia mam jeszcze biopolitykę i antropologię ekonomiczną, po których zazwyczaj idziemy do ogrodu albo nad rzekę, ale dzisiaj wyjątkowo cały mój rocznik wraca do swoich pokojów, żeby przygotować się na wieczór. W miasteczku, jakieś dwadzieścia minut drogi od szkoły, jedna z absolwentek prowadzi bar dla lokalnej społeczności. Często świętujemy tam czyjeś urodziny, zdanie egzaminów albo spotykamy się przed wakacyjnym rozjazdem do domów. Dzisiaj wybraliśmy to miejsce na uczczenie dwudziestych urodzin Zofii.

Biorę prysznic i owijam w szary papier paczkę pierników. Zocha opowiadała mi, że jeżdżąc na wakacje do dziadków do Polski, zawsze odwiedzali Toruń i kupowali ich całą masę. W tym roku nie zdążyła zahaczyć o Toruń, więc myślę, że tym bardziej ucieszy się z prezentu.

– Nakładasz tę czerwoną kieckę? – Alex, moja współlokatorka, wychodzi z łazienki trzymając na wieszakach dwie sukienki. – Bo ja nie wiem: tę hippie czy tę długą? – Weź tę długą, bo wieczorem będzie zimno. Mam nałożyć czerwoną? Nie jest zbyt elegancka?

– Nieee, wyglądasz w niej zjawiskowo. Mówię ci.

Nakładam czerwoną, a Alex tę długą i idziemy spotkać się z resztą za rogiem szkoły. Wszyscy musimy być na miejscu nieco wcześniej, a chwilę po nas ma przyjść Olena, która rzekomo zabiera Zochę na urodzinowe piwo. Zaczyna się już ściemniać, ale droga do miasteczka jest oświetlona. Po kilkunastu minutach z daleka zaczyna być widać neon baru KONSTRUKT.

Wszystko idzie zgodnie z planem. Zocha domyśliła się, że coś się kroi, ale nie spodziewała się tak wielu gości, tortu ani prezentów. Była zachwycona. Samanta, właścicielka baru, zleciła przygotowanie grillowanych warzyw na kolację, jest też kuskus z ziołami i zupa w stylu japońskim. W takich sytuacjach chyba wszyscy czujemy się rodziną, w końcu spędzamy tutaj większość roku, prawie wszyscy daleko od swoich rodzinnych domów, wszyscy będący tutaj z jednego bardzo ważnego powodu.

– Hej, co cię trapi? – Janek przysiadł się i stawia obok mnie kolejne piwo.

– To, co zwykle – biorę duży łyk – kiedy przypominam sobie, po co tu jesteśmy.

Janek wie, o co mi chodzi. Sam przez to przeszedł, podobno. Szkoły Antropologii powstały nie tak dawno temu, kiedy było już wiadomo, że ówczesny system niedługo się rozpadnie. Na całym świecie rosły w siłę ultraprawicowe ruchy społeczne, obywatele wielu państw migrowali, uciekając przed autorytarnymi rządami. To samo stało się w Polsce, choć moi bliscy zostali i na co dzień zmagają się z dyktaturą. Szkoły Antropologii powstały na każdym zamieszkałym kontynencie z inicjatywy międzynarodowych organizacji antropologicznych. Większość z nich położona jest w górach, a część ukrywa się przed władzą i opinią publiczną lub zataja prawdziwy cel swojego istnienia, czyli wykształcenie jednostek zdolnych do zbudowania nowego „lepszego świata”: polityków, doradców, aktywistów, a czasami szpiegów.

– My jesteśmy tutaj, bezpieczni i szczęśliwi. A tam? Nie podoba mi się ta przepaść. To sztuczne tworzenie granicy, kolejny podział na swoich i obcych stworzony przez samych antropologów.

– Chodź – mówi Janek. Prosi, żebym zaczekała na zewnątrz, a sam podchodzi do Marie-Pierre. Po chwili oboje do mnie dołączają. Czuję się trochę, jak w dniu, w którym pan Stawinsky kazał mi zostać w klasie po lekcjach.

– Jak dobrze wiesz – powiedział nauczyciel – co roku wyjeżdżacie na kilka tygodni na badania terenowe, by za pomocą narzędzi antropologicznych zbadać jakieś zjawisko, problem. W tym roku będzie nieco inaczej.

W tym roku każda szkoła zaplanowała badania terenowe stawiające na praktykę. Wybrano kilka miejsc, w których sytuacja polityczna jest najbardziej skomplikowana i pełna konfliktów. Studentki i studenci będą mieli do wyboru jedno miejsce i jeden sposób na osłabienie pozycji autorytarnej władzy: propagandowo, osłabiając ją od wewnątrz lub współpracując z lokalną społecznością. Będziemy pracować w grupach, a w terenie spędzimy tyle czasu, ile będziemy potrzebować lub ile damy radę wytrzymać. Przygotowania do wyjazdu zaczną się w przyszłym miesiącu.

– Jada wszyscy?

– Tylko chętni i gotowi.

– I mówicie to mi, bo myślicie, że jestem chętna i gotowa?

Janek i Marie-Pierre spoglądają na siebie, a później na mnie, potakując.

– Świetnie. Wybrałam już miejsce.

Wracam do Polski.

Zuzanna Nalepa

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

zuznal@st.amu.edu.pl

SOUNDSCAPE'OWY ROZWSPIN

Antoni wyglądał jak każdy z nas, chociaż można powiedzieć, że jego obecność miała podwójne znaczenie. Z jednej strony wspinał się razem z nami, z drugiej, gdy tylko miał wolną chwilę, rozstawiał pod skałą sprzęt, rekordery dźwięku i inne duperele. Nie do końca wiedzieliśmy, o co mu chodzi z tym nagrywaniem, ale tak naprawdę, w obliczu skał nie bardzo mieliśmy ochotę rozmawiać o czymkolwiek innym niż wspinanie.

Już pierwszego wieczoru, przy ognisku na kwaterze, zwrócił moją uwagę. Przyjechaliśmy we troje. Ja byłem sam, bo mój partner wspinaczkowy złamał nogę i jedyne, na co mogłem liczyć, to że Kuba i Marta coś tam mnie przyasekurują. Dlatego, gdy tylko zobaczyłem chłopaka, wysokiego i mniej więcej mojej wagi, samotnie siedzącego na nieco spróchniałej kłodzie, od razu postanowiłem zagadać i wypytać, czy nie potrzebuje przypadkiem towarzystwa we wspinaniu. Przysiadłem się, a rozmowa od początku potoczyła się sama. Antek faktycznie przyjechał sam, a jego celem nie tyle było samo wspinanie, ile raczej nagrywanie dźwięków wspinających się ludzi. Wspinacze z reguły mają dość interesujące osobowości, więc fakt, że kręca go nagrywki dźwięku nie wydał mi się dziwny. Oł, kolejna osoba z ciekawą zajawką. Szybko ustaliliśmy, że będziemy się nawzajem asekurować, a on przy okazji będzie miał możliwość nagrywania naszych starć z drogami. Jeszcze tylko ostatnie pytanie, czy jest po kursie, bo przecież nie po to przyjechałem na Jurę, żeby stał pode mną człowiek, który nic nie wie o asekuracji, ale uff!, Antek w skałach

praktycznie się wychował. Start umówiliśmy na ósmą i rozeszliśmy się do swoich namiotów.

Poranek przywitał nas przyjemnym chłodem i wilgotną trawą. W drodze do wspólnej kuchni spotkałem mojego nowego towarzysza walk. Antek kuczał na skraju wydeptanej ścieżki i rozstawiał sprzęt. Na pytanie, po co nagrywa ciszę, przecież oprócz nas na nogach były może trzy inne osoby, odparł, że cisza też ma swoje brzmienie i znaczenie. Wzruszyłem ramionami i stwierdziłem, że owsianka jest lepszym pomysłem niż słuchanie ciszy. W kuchni, znad parującej miski z jedzeniem, przypomniałem sobie jednak o koledze. Wyszedłem przed budynek i przysiadłem na drewnianym schodku, z którego miałem doskonały widok na Antoniego. Już nie kuczał, tylko siedział na rozłożonej kurtce koło rekordera. Ubrany był w typowy strój wspinacza, czyli w luźne długie spodnie wspinaczkowe i żółtą bluzkę z krótkim rękawem. Widocznie należał do ludzi, którym nie straszny jest ranny chłód. Spokojnie rozglądał się po polu namiotowym, bez najmniejszego szmeru obserwował wyłaniających się ze swoich tymczasowych domów, ziewających jeszcze wspinaczy. Po chwili wyciągnął mały kajecik i przez dwie lub trzy minuty coś notował, po czym sięgnął po przewieszony przez ramię aparat i zrobił kilka zdjęć. Zaciekawiony jego zachowaniem postanowiłem wypytać go, po co mu te zdjęcia, notatki i przede wszystkim nagrania w drodze w skały. Szybko dokończyłem śniadanie i ruszyłem do swojego namiotu po szpej.

Spotkaliśmy się przy samochodzie. Kuba i Marta dołączyli po kilku minutach i wyruszyliśmy przyatakować drogi. Nieco jeszcze zaspani, ustalaliśmy plan dnia. Z Antkiem planowaliśmy wspin na Prądownej, pozostali szli na Alfa, więc po dotarciu na leśny parking, rozeszliśmy się, ustalając jeszcze szybko, że w południe skoczmy na wspólny obiad. Pod upatrzoną skałą byliśmy sami, więc postanowiłem skorzystać z okazji i zapytałem mojego towarzysza, co on tu tak naprawdę przyjechał robić. Odparł, że wspinanie inspiruje go do słuchania, a to z kolei do nagrywania, fotografowania i notowania. Rzucił kilka pojęć, jakaś antropologia dźwięku, akustemologia, nic nie mówiące mi słowa. Dodał jeszcze, że finalnie z nagrań zrobi podcast, ale to w swoim czasie, bo jeszcze nie zebrał wystarczającej ilości materiału. A materiały są, według Antka, najważniejsze,

ukazują *soundscape* otaczający wspinaczy, przestrzeń, w której mieszają się odgłosy natury i brzęk szpeju, krótkie polecenia: „daj blok!”, „dół!”, „mogę iść?”, obok nich śmiech, rozmowy o prywatnym życiu, po których następuje wiązanka przekleństw, bo ten crux, ta trudność okazała się nie do przejścia. W sumie to całkiem ciekawa sprawa, sam przecież nie raz wsłuchiwałem się w dyskusje zespołów wspinających się na drogach obok moich projektów. Ale nigdy nie pomyślałem, że takimi rzeczami można zajmować się naukowo. Że w ogóle istnieje coś takiego, jak antropologia kulturowa, to mi się o uszy obilo, ale o antropologii dźwięku nie słyszałem. No właśnie, Antoni rozwdził się o wartości słuchania, rozkładając ekspresy na wyciągniętym z plecaka turystycznym kocu.

Muszę przyznać, że mój nowy znajomy miał talent do opowiadania o swojej pasji. O tym, że według niego otoczenie dźwiękowe, które tworzą wspinacze, w połączeniu z dźwiękami szumu drzew, świergotu ptaków, szelestem suchych liści czy odgłosem łamanych gałązek leżących pod skałą, generuje przestrzeń, która wytwarza wspinaczkową tożsamość. Szczerze mówiąc, stałem nad płachtą, na którą w chaotyczny sposób klawrowałem linę i nie byłem w stanie przerwać potoku słów wydobywającego się z Antoniego. Fascynujące, jak ludzie potrafią wkręcić się w tak nietuzinkowe zajawki.

Kiedy cały szpej był gotowy do ataku, a uprząże dopasowane do naszych ciał, Antek zabrał się za rozstawianie swoich rekorderów. Szybko poszło, dosłownie dwa mikrofony, z których jeden ustawił tuż nad naszymi głowami na niewielkiej skalnej półce, drugi z kolei wylądował kilka metrów za naszym obozowiskiem. „To tak w razie, gdyby *soundscape* się rozszerzył i pod Prądowną wylądowały inne zespoły”, rzucił mimochodem i zabrał się za przeprowadzanie liny przez przyrząd do asekuracji. Ja szedłem na pierwszego, więc idealnie się złożyło, wciąż nie czułem się całkowicie nasycony opowieścią o dźwiękach, postanowiłem więc dopytać o to, skąd się w ogóle ta antropologia dźwięku wzięła. Widocznie pytania nie przeszkadzały koledze, który tuż po sprawdzeniu, czy węzeł na moim końcu liny jest prawidłowy, a całość odpowiednio przeprowadzona przez łącznik w mojej uprząży, zaczął mówić o badaczu z Kanady, który zapoczątkował cały nurt badań nad pejzażem dźwiękowym. Schafer, bo tak

się on nazywał, rozpoczął w latach sześćdziesiątych projekt skupiający się na relacji człowieka i środowiska dźwiękowego z całego świata. Na twarzy Antka wykwitł rumieniec jasno wskazujący na podekscytowanie mojego partnera. Mówił o kolejnych badaczach, o Stevenie Feldzie, który swoje badania prowadził w lasach deszczowych Papui-Nowej Gwinei, a także o Bernie'm Krausie, którego proekologiczna dźwiękowa działalność stała się inspiracją dla Antkowego projektu o wspinaczkowym *soundscape'ie*.

Bo ten podcast, o którym wspominał, to ma być nie tylko taki dla rozluźnienia, ale fajnie, gdyby udało się złapać jakichś wspinaczy, żeby udzielili mu wywiadów, opowiedzieli o swoich odczuciach względem wspinu w naturze. Antoni stwierdził, że najbardziej ciekawi go, jaki wpływ mają wspinający się ludzie na dźwiękowe przestrzenie otaczające rejony wspinaczkowe, czy w ogóle zauważają zmiany w czasie, nawet coś o klimacie, ale to już wyższa szkoła wtajemniczenia. Wspinałem się, a zamiast skupiać na ruchach i ustawieniu ciała, słuchałem mojego asekuranta, który klarował mi połączenia między zmianami klimatycznymi a *soundscape'em* natury. Trochę abstrakcyjne, ale z minuty na minutę, albo może bardziej z metra na metr, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że wydający mi linę chłopak ma najbardziej zwariowane hobby, o którym słyszałem wśród znajomych wspinaczy.

Czas mijał nam na pokonywaniu dróg, a mała polanka pod skałą powoli zapełniała się kolejnymi ekipami. Nie, nie można nazwać tego tłokiem, dosłownie cztery pary, chociaż rozmowy i brzęk wpinanych w ringi ekspresów zaczęły zagłuszać to, co z otaczającego lasu docierało do naszych uszu, gdy jako jedyni atakowaliśmy skałę. Antek wyglądał na całkiem zadowolonego, w sumie przecież właśnie nagrywał mu się niezły materiał do projektu. Mi to się nawet trochę nostalgicznie zrobiło, bo przyjemny był wspin w ciszy natury. Może nie do końca ciszy, bo gdy tylko ptaki, początkowo zaniepokojone naszą obecnością, przyzwyczyły się, rozległ się koncert. Chyba zacząłem rozumieć oczarowanie Antka dźwiękiem. W całkowitej ciszy wspinanie nie miałoby sensu. Nie tylko klikające eksy i szmer sunącej przez kubek do asekuracji liny dawał mi poczucie relaksu, chodziło o naturę. A jak Antek zaznaczył, odbieramy ją wieloma

zmysłami. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, kiedy uświadomiłem sobie, jak istotne były dla mnie dźwięki lasu.

Letnie dni, które dla wspinaczy są szczytem sezonu, upływają na bez troskim kontakcie z przyjemnym chłodem skały. I choć w teorii jasno jest do późnego wieczoru, wspinaczkowa współpraca z Antonim dobiegała końca. Po zejściu z ostatniej drogi zgodnie zabraliśmy się do sprzątania rozrzuconego przy naszym obozowisku szpeju. Takiego rozwspinu jeszcze nigdy nie miałem. Nie dość, że każdy z nas praktycznie wbiegł na atakowane drogi, co już samo w sobie wywołało w nas obojgu dziką satysfakcję, to jeszcze Antek zdobył kilka godzin cennych nagrań, a mi trafił się wartościowy partner. I mimo, że nie miałem pojęcia, kiedy pojawi się kolejna okazja do wspólnej zabawy i wypymania kolegi o postępy w pracy, humor wciąż mi dopisywał. Wiedziałem przecież, że niedługo dostanę od Antka link do gotowego podcastu. A tymczasem w drodze na kwaterkę może wyciągnę jeszcze jakieś *soundscape* 'owe smaczki.

Aleksandra Krzyżaniak

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

alekrz3@st.amu.edu.pl

LIMEN

Taka spiekota w Piekło, jak w Poznaniu. Żar leje się ze sklepienia, bucha z jeziora siarki i majaczy w powietrzu tak, że wszystko dokoła drga i miga niby fatamorgana. Altanka, do której zaprosiła mnie Ewa, daje jednak jako takie schronienie, choć skwar doskwiera i tutaj, klejąc mi skórę i sącząc stróżki potu z mojej twarzy. Ktoś by zapytał, czemu nie spotykamy się nad Styksem, na Ziemi albo chociaż w Disa, w cieniu murów piekielnego miasta, ale pytałby głupio, nie znając ani trochę mojej gospodyni. Ewa nigdy nie robi niczego przypadkiem.

Sama słabo ją znam, widziałam ją w zasadzie tylko raz na przyjęciu u Rokity, u którego chcąc nie chcąc jestem na służbie – to zresztą przez jego rozkaz tutaj wylądowałam. Ewy jednak nie trzeba znać osobiście, żeby wiedzieć o niej pewne rzeczy. Różnie się o niej szepcze, zawsze jednak z podszytym strachem szacunkiem. Wiadomo, że jest ważna i ma posłuch u Gwiazdy Zarannej, choć tylko z rzadka widać ją u jego boku. Gdziekolwiek się nie pojawia, zawsze wywołuje zamęt, choć zbrojna jest tylko w notatnik, pióro, dyktafon i zestaw szczególnie impertynenckich pytań. Wiadomo też, że jeśli zdecyduje się zadać pytanie akurat tobie, to nie ma już ucieczki – dorwie cię w taki czy inny sposób, a im bardziej będziesz się opierać, tym mocniej zaboli, kiedy w końcu wpadniesz w jej sidła. Sama jestem tego przykładem. Kiedy odmówiłam jej spotkania za pierwszym razem, nie spodziewałam się, że zmusi Rokitę, aby wydał mi rozkaz. Powolne smażenie w altance przy jeziorze siarki jest i tak

niewielką karą za odmowę; prawdziwe tortury zaczną się zapewne i tak dopiero, gdy Ewa w końcu zdecyduje się zadawać te swoje pytania.

Jednak na razie tylko siedzi, powoli sącząc dymionę magmą piwo prosto z warzelni Bachusa, nieporuszona tym, że dyktafon już od dawna nagrywa. Na pierwszy rzut oka nie ma w niej nic szczególnie powalającego, ot, drobna kobieta o krótkich, rudych lokach i bystrych, jasnych oczach, jak zwykle ubrana w garnitur, tym razem lniany i turkusowy, wściekle kontrastujący z wulkanicznym horyzontem za jej plecami. Nie mam pojęcia, jak wytrzymuje w tym klimacie, ale nie pytam, bo to chyba nie moje miejsce, choć ta odporność na gorąco może być pierwszym znakiem jej diabelskich konotacji. Podobnie jak jej uśmiech, drobny i cyniczny, niezmiennie wryty na jej nieśmiertelnej twarzy. Nie umiem strząsnąć z siebie poczucia dyskomfortu, jaki we mnie wywołuje. Sama Ewa albo go nie zauważa, albo co gorsza, ignoruje. Nawet kiedy zaczynam się wiercić, ona nie reaguje; dopiero gdy rezygnuję z wszelkich prób przykucia jej uwagi, coś się zmienia. Nie czuję tego od razu, ale z czasem oswajam się z sytuacją, siadając wygodniej i wzorem gospodyni sięgając po słodki trunek. Dopiero wtedy, gdy biorę drugi łyk piwa, Ewa atakuje, jednym krótkim pytaniem kompletnie zabijając mój dopiero co odnaleziony spokój.

– Pamiętasz, jak umarłaś?

Myślałam, że będzie mnie pytać o Rokitę, ewentualnie Borutę albo o moją służbę. Nie, że będzie pytać o mnie. Na co jej wiedzieć, jak umarłam? Na co jej wiedzieć cokolwiek o mnie? Takich jak ja są tysiące, dusze związane cyrografem, bez przyszłości i zawsze na usługach jakiegoś diabła, mniej lub bardziej ważnego. Niewiele znaczymy w Piekło i pewnie niewiele znaczyliśmy za życia; po co więc drażnić?

– Pamiętasz?

A jednak zadała to pytanie i nie brzmi, jakby robiła to złośliwie. Patrzy na mnie tylko tym przesywającym wzrokiem i czeka. Cynizm jej uśmiechu jest jakby mniej oczywisty.

– Nie pamiętam.

– A sprzed śmierci cokolwiek pamiętasz?

– Też nie. – Na co Ewa kiwa głową, jakbym właśnie podała jej prawdę objawioną. – Ale przecież nikt nie pamięta.

– Ja pamiętam. Wszystko.

– Ty nie jesteś wszyscy – protestuję, ale ona tylko unosi w rozbawieniu brew i popija piwo.

I znowu cisza, tylko teraz na siebie patrzymy, ja bez zrozumienia, a ona jakby wiedziała wszystko. W tle wybucha gejzer lawy, z głośnym rozpryskiem rozpadając się o wrzącą taflę jeziora.

– A pamiętasz, ile miałaś lat? Co robiłaś? Gdzie pracowałaś i czy skończyłaś jakąś szkołę?

– Rokita mówi, że młoda byłam, szczeniak na mnie mówi.

– Nie co Rokita mówi, tylko jak ty czujesz, jak ty myślisz.

– Ja tu nie jestem od czucia i myślenia, ja tu jestem od robienia, co mi każą.

– Tak?

– Tak.

– To znaczy, że nie kochałaś?

I znowu te niewygodne pytania. Skąd mam wiedzieć? Nie pamiętam, tak po prostu, jak wszyscy. Od kiedy tu jestem, nic nie pamiętam sprzed, tylko to, co jest teraz. Na co mi byłoby pamiętać?

– Nie.

– Nie kochałaś czy nie pamiętasz?

– Nie pamiętam.

– A chciałybyś?

– Chciałabym co?

– Pamiętać. Wszystko pamiętać.

*

Za drugim razem widzimy się na Ziemi, w Poznaniu, w samym środku lata. Moja kara najwyraźniej się nie skończyła, bo Ewa zarezerwowała nam stolik na Placu Kolegiackim, gdzie rozgrzany beton parzy niemalże tak jak piekielne jezioro. Mogę dramatyzować, ale jest nieprzyjemnie, choć Ewa, podobnie jak wcześniej, jest nieporuszona. Znowu ma na sobie garnitur, teraz różowo-czerwony, niepokojąco podobny do barwy fasady Urzędu Miasta. Po ostatnim razie nie wiem, czy jest coś w tej kobiecie, co nie jest niepokojące.

– U Rokity mieszkasz, tak? – Ewa pyta, a ja kiwam głową, od razu myśląc, co ona może drażnić tym razem. – A jak ci się tam mieszka?

– Dobrze – mówię ewidentnie zbyt szybko, bo patrzy się na mnie nieprzekonana i nawet mój niezręczny uśmiech nie pomaga, więc kombinuję naprędce: – To znaczy, są plusy i minusy, jak wszędzie w Piekło.

– Minusy?

– Rokita dużo z polityką działa, to i się dużo dzieje.

– Tak? A co ostatnio?

– Przecież wiesz. Wszyscy wiedzą.

– Nie wiem.

Wzdycham, ale odpowiadam, łapiąc się na tym, że zapominam o włączonym dyktafonie. Opowiadam Ewie o Twardowskim i jego nowo powstałej frakcji w parlamencie, czując się, jakbym opowiadała dziecku, jak działa jamniczek. Wszyscy w Piekło wiedzą o Rokicie, Twardowskim i pakcie księżycowym, sprawa trwa od wieków, ale ostatnio znowu się zaogniła i wszyscy o tym mówią. Ewa musiałaby żyć pod kamieniem, żeby nic o tym nie słyszeć. Słucha mnie jednak pilnie i nic w niej nie zdradza znudzenia, nawet gdy nieświadomie zmieniam temat i zaczynam gadać o Mamonie i jego ustawie o nowym prawie podatkowym.

– A o reformie Belzebuba co myślisz?

– Tej mieszkaniowej? Kocioł prawem, a nie przywilejem? – dopytuję, a ona energicznie kiwa głową, rude loki kołyszą się z każdym ruchem. Nawet nie zawahałam się przed odpowiedzią, inaczej niż poprzednim razem, gdy każde zdanie było wymuszone.

Ewa dalej dopytywała, a to o relacje z Lilith, a to o kult Peruna, a to znowu, co myślę o wywłaszczeniu smoka z jamy pod Wawelem. Przez większość czasu jednak milczała, patrząc na mnie tymi przenikliwymi, jasnymi ślepiami. No i pierwszy raz notowała, tak skrupulatnie i nieustannie, aż cud, że jej się tusz w piórze nie skończył. Korciło mnie, żeby zapytać, co tam tak zapisuje, skoro i tak zanim zaczęłyśmy włączyć rekorder, ale trochę się bałam. To tak, jakby pytać psychologa, co sobie pisze w zeszycie. A jak jeszcze dostanę jakąś straszliwą diagnozę? Albo się dowiem, że plotę bez sensu, albo że kłamię, albo, co gorsza, nieświadomie popieram kapitalizm? No i nie zapytałam, a ona sama z siebie nic

nie skomentowała, tylko słuchała dalej. Nie wiem, ile tak mówiłam, ale trudno było mi przestać, szczególnie, że ona tak dobrze słuchała.

Co też ona ze mną robi?

*

Za trzecim spotkaniem Ewa zamieniła upał na chłodną bryzę tęsknoty i melancholii. Siedzimy na ławce tuż przy Lete, wody rzeki na wyciągnięcie ręki.

– Nie byłam tu wcześniej – mówię, chociaż mam wrażenie, że kłamię. – Albo byłam. Nie pamiętam.

– Byłaś. Wszyscy byli.

– Ty też?

– Ja nie – odpowiada, a ja już wiem, że dzisiaj nie będziemy rozmawiać o polityce Piekła. Nie wiem tylko, czy to dobrze, czy źle.

Siedzimy znowu w ciszy, a ja patrzę jak niebieski motyl przysiada na paproci rosnącej przy brzegu, tylko po to, żeby zaraz odlecieć i zniknąć w liściach, jak gdyby nigdy go tutaj nie było, jak gdyby nigdy nie istniał. Ewa ma zamknięte oczy i nie otwiera ich nawet, kiedy zaczynam mówić.

– Po co te wszystkie pytania?

– Ktoś musi pytać.

– Ale po co?

– Żeby nie zapomnieć.

– Ja nic nie pamiętam.

– Pamiętasz, tylko nie wprost.

Nie wiem, co ma na myśli. Jak można pamiętać nie wprost? Coś wiedzieć, ale nie wiedzieć? Ewa, to nie ma sensu, ale jej tego nie mówię. Myślę tylko sobie, że ona jest chyba szalona. Żyje zresztą długo, dłużej niż jakikolwiek człowiek żył i nie wygląda, jakby miała przestać. Każdy by oszalał, jakby tyle widział, tyle pamiętał i tyle miał jeszcze do zobaczenia i pamiętania. Jednego tylko nie pojmuję, czemu pyta innych o ich pamięć, skoro jej własne pamiętanie tyle boli.

– Kim ty jesteś? – pyta, jakby na potwierdzenie moich myśli. Szalona.

– Nie wiem. Nie pamiętam. – Cisza. – A ty?

– Ewa – odpowiada, ale jakby w zamyśleniu. – Lubię myśleć, że jestem antropolożką. Że gdzie diabeł nie może, tam mnie posyła. Że jestem od tego, żeby pamiętać za tych, co nie pamiętają i dla tych, którzy chcą pamiętać, ale nie wiedzą co. I dla samej pamięci, wtedy, kiedy nie wiadomo, co pamiętać. A ja pamiętam wszystko.

Potem milknie, a ja znowu czuję niepokój. Nie wiem, co powiedzieć ani co myśleć, nie tego się po niej spodziewałam. Jej milczenie nie trwa jednak długo; po chwili prostuje się i patrzy prosto na mnie i jakby we mnie. Jej oczy, teraz otwarte, są wszyszkowidzące i przenikliwe, tak jak przenikliwe jest jej pytanie.

– Chcesz pamiętać?

Wody Lete były zimne, ale orzeźwiający.

Zuzanna Majerowicz

Instytut Antropologii i Etnologii

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

zuzmaj3@amu.edu.pl

KOSMICZNY SKANSEN

- Zapaski, spódnice i gorsety są?
- Są.
- Buty, korale i koszule też?
- Tak, wszystko jest spakowane i gotowe do drogi.

*

Wchodzimy na pokład wielkiego statku kosmicznego, który przetransportuje nas na planetę Gridia. Polska jako jedyny kraj z Europy ma reprezentować Ziemię na konkursie organizowanym przez Naczelny Komitet ds. Kultury Międzygwiazdnej. Zostałam przydzielona do ekipy składającej się z kilkuset osób odpowiedzialnych za ukazanie polskiej kultury i sztuki. Z racji tego, że jestem etnologiem, ja i mój zespół zajmujemy się kulturą tradycyjną. Oto mój dziennik z tej wyprawy.

Statek zaczyna się wypełniać różnymi gabarytowo pudłami, skrzynkami i kontenerami. W środku są rekwizyty, które pozwolą nam zaprezentować się jak najlepiej na tym wielkim konkursie. Chcemy stworzyć małe muzeum i skansen, o ile warunki pogodowe na planecie Gridia nam na to pozwolą. Z tego co wiem, planeta jest raczej sucha i pustylna, więc możemy tylko pomarzyć o zielonych łąkach i lasach, które dodałyby nam autentyczności. Zatrudniliśmy nawet statystów, którzy będą odpowiedzialni za odgrywanie ról mieszkańców wsi. Planujemy także warsztaty, które przybliżą mieszkańcom innych planet życie Polaków na wsi pod koniec

XIX wieku. Mogłoby się wydawać, że już dawno nikt się nie interesuje takimi tematami, jednak my jako grupa szczególnych zapaleńców myślimy odwrotnie. Mam nadzieję, że wszystko wyjdzie tak, jak zamierzaliśmy.

Rozglądam się po pokładzie statku. Dość abstrakcyjnie wyglądają stare wrzeciona i krosna w otoczeniu skomplikowanej maszynerii. Pasażerowie są gotowi do lotu i zaczyna się odliczanie. 3...2...1... START! Coś niesamowitego. Czuję się jak na kolejce górskiej, tyle tylko, że po wyjściu nie zobaczę ziemskiego Słońca, a gwiazdy i księżycy w odległej galaktyce. Już teraz za oknem widzę konstelacje i drogi mleczone, które przemierzamy. Podróż ma trwać około trzech dni. Większość pasażerów ma już za sobą pierwsze starcie z tą czarną nicością. Ja jestem nowicjuszka.

Postanowiłam przejść się po pokładzie. Cały statek składa się z kilkudziesięciu pokoi sypialnianych, bawialni, restauracji i basenu, można tu znaleźć wszystko, czego potrzebuje człowiek podczas długiej podróży. Zaciekały mnie głośne rozmowy dobiegające z pokoju socjalnego. Zajrzałam do środka i okazało się, że pan Gienek, pszczelarz, dyskutuje z robotem odpowiadającym za naprawy na statku. Rozmowa dotyczyła w głównej mierze pozostania przy naturalnej hodowli pszczół zamiast zamienników mechanicznych, które od paru lat wprowadza rząd z racji zmniejszania się populacji prawdziwych pszczół. Niestety, pan Gienek chyba nie zdawał sobie sprawy, że robot nie posiada aparatu mowy, więc wszystkie jego żale musiały zostać bez odpowiedzi.

– Ooo, pani Stefa! Może przysiądzie się pani do nas? – zagaił.

– Nie, nie, ja tylko sobie spaceruję. Nie będę przeszkadzać – odpowiedziałam nieco zawstydzona.

Poszłam dalej w głąb jasnego korytarza. Na ścianach migwały kolorowe lampki, które sugerowały załodze, że na statku wszystko działa bez usterek. Minęłam nawet naszego opiekuna z Gridii, ale nie zauważył mnie, zajęty przeglądaniem raportów, jakie miał przedstawić swojemu szefowi. Odwróciłam się za nim, żeby zobaczyć, jak jego zielonkawa skóra połyskuje w świetle jarzeniówek. Nie zdążyłam jeszcze przeanalizować kolorytu jego łusek, gdy nagle włączyła się syrena alarmowa i wszystkie światła zapaliły się na czerwono.

– Uwaga! Proszę zachować spokój i skierować się do najbliższego schronu – głośny komunikat rozległ się na statku kilka razy.

Poszłam więc za znakami prowadzącymi do najbliższego bezpiecznego miejsca. Razem ze mną poszedł pan Gienek i Danim, nasz opiekun.

– No nie, tylko nie to. A wszystko szło już tak dobrze! – Nigdy nie widziałam Danima tak zdenerwowanego. Jego oczy zaczęły być jeszcze bardziej czarne niż zazwyczaj. Pan Gienek tylko się śmiał i mówił, że bez przygody nie ma udanej podróży. Ja byłam innego zdania. Tak jak Danim chciałam, żeby obyło się bez przykrych niespodzianek. To moja pierwsza poważna podróż i nie pozwolę, żeby jakaś awaria mi w niej przeszkodziła.

Siedzieliśmy w schronie i zastanawialiśmy się, co dalej. Wyczuwaliśmy turbulencje. Danim tylko wzdychał, że wlecieliśmy pewnie w pas meteorytów, który może być długi nawet na sto kilometrów. „No, świetnie”, pomyślałam. Za parę minut zaczęło dziać się coś niepokojącego, bo Danim zdjął urządzenie, które pozwalało mu na bieżąco tłumaczyć jego mowę na naszą i zaczął kontaktować się z załogą. Nie miał zbyt przyjemnej miny.

– No, dobra, sprawa wygląda tak, że uderzył w nas jakiś meteor. Mamy dziurę w luku bagażowym. Kilka rzeczy, które mieliśmy wykorzystać w skansenie wyleciało w przestrzeń kosmiczną – poinformował nas Danim.

– Co wyleciało?! Dziura w luku bagażowym?! Jak to?! – krzyknęłam, aż pan Gienek podskoczył z wrażenia.

– No, straciliśmy narzędzia rolnicze i ule pana Gienka. Roboty reperujące i sprzątające nie mogą też znaleźć kontenerów z ubraniami. Ale dziura jest już naprawiana i, jeśli sobie życzycie, to wyślemy transport na Ziemię po nowe rzeczy.

Byłam załamana.

– Nowe rzeczy? Zdajesz sobie sprawę, jak cenne dla dorobku polskiej etnografii były te obiekty?! A teraz, krążą gdzieś w kosmosie... – wyobraziłam sobie te wszystkie pasiaki lewitujące na tle gwiazd. – A zresztą, nie mamy już czasu na załatwienie nowych rzeczy, skoro już za dwa dni lądujemy i musimy od razu przygotować nasz skansen.

Pan Gienek siedział milczący. Pewnie dotknęło go bardzo, że jego ule nie przetrwały tej podróży.

Mogliśmy już wyjść ze schronu, ale ja wcale nie miałam ochoty iść do tych wszystkich ludzi i przekazywać im wiadomości o tym, że nie mamy najważniejszych rzeczy do zaprezentowania na wystawie. Wolałam siedzieć zwinięta w kłębek i czekać, aż to wszystko się skończy. Chciałam już wrócić na Ziemię. Musiałam się jednak przemóc i powiedzieć o naszych stratach. Wyprzedził mnie w tym Danim, który na szczęście czuł się swobodniej w przekazywaniu złych wieści.

Kolejne dni lotu minęły nam w ciszy. Nikt już nie cieszył się na spotkanie na obcej planecie wśród reprezentantów innych cywilizacji. Co prawda wyrwa w kadłubie statku została załatana i lot przebiegł już bez żadnych przygód, ale wciąż miałam w głowie myśl, że zawiedliśmy.

Na chwilę przed lądowaniem przyszedł do mnie pan Gienek.

– Pani Stefo... Ja tak sobie pomyślałem, że może dobrze by było, jakbyśmy zamiast tych naszych rzeczy, których i tak już nie mamy, mogli pożyczyć jakieś narzędzia od miejscowych. Rozmawiałem już z panem Danimem i powiedział, że ma kontakty do osób, które mogłyby nam pomóc.

– Panie Gienku, ale miejscowi nie posiadają polskich strojów ludowych ani pańskich uli. To jak pan sobie wyobraża tę „pożyczkę”?

– No, z tego, co wiem i co opowiadała mi moja wnuczka, bo ona interesuje się różnymi kulturami, to ci na tej planecie, na którą lecimy też mają takie kolorowe stroje. Uli, co prawda, nie mają, ale jak dadzą mi trochę drewna i narzędzi, to na szybko coś zbuduję. Nawet przeboleję te mechaniczne pszczoły. Musimy się przecież jakoś zaprezentować.

Musiałam to przemyśleć. Z jednej strony rzeczywiście, wzory tradycyjnych strojów Gridian trochę przypominały te na pasiakach łowickich, a mechaniczne pszczoły byłyby nawiązaniem nowoczesności do tradycji...

– No dobrze, panie Gienku, może coś z tego wyjdzie. Muszę porozmawiać z zespołem.

Nie zdążyłam jednak daleko zajść, gdy rozpoczęła się procedura lądowania. Pan Gienek został ze mną i przed naszymi oczami ukazała się planeta Gridia. Nawet z naszej wysokości można było zobaczyć jej fioletowy odcień. Składała się głównie z piasku w kolorze liliowym. Zbliżaliśmy się do lądowiska i zobaczyliśmy scenę jak z filmów science fiction: wysokie,

oszkłone wieżowce, a nad nimi latające auta, w środku których znajdowały się osoby o zielonym kolorze skóry i czarnych jak głębia oceanu oczach. Mimo, że już dawno poznaliśmy obce nam cywilizacje, to ciągle zadziwiał mnie fakt, że możemy swobodnie komunikować się i spotykać z osobami spoza naszego Układu Słonecznego.

Po wyjściu ze statku postanowiłam podzielić się nowiną z całym zespołem. Będziemy improwizować i stworzymy nasz skansen przy pomocy miejscowych, do których o pomoc zwrócił się Danim. Zaczęliśmy działać. Pojechałam na szybkie rozeznanie terenu i faktycznie materiał, z którego jest tworzony jeden z tradycyjnych strojów Gridian przypomina w strukturze wełnę. O kolory nie musieliśmy się martwić, bo poleciały z nami panie, które zajmują się barwieniem tkanin. Na szczęście barwniki nie wyleciały w kosmos. Pan Gienek zdobył materiały potrzebne do zbudowania uli. Wszyscy zaangażowali się we wspólną pracę tak, że wyglądało to jakbyśmy specjalnie mieli w planie zbudowanie elementów skansenu od zera, a nie przy pomocy gotowców. Ta przygoda, choć jeszcze się nie kończy, dała nam dużo do myślenia. Nikt nie spodziewał się, że będziemy zmuszeni do takich czynów. Musimy być gotowi na wszystko, bo jutro wielkie otwarcie wystawy!

P.S. Podobno piloci ostrzegają się nawzajem przed latającymi w przestrzeni kosmicznej spódnicami.